

Anna
Czabanowska-
Wróbel
Łucja
Iwanczewska

Napisała nam

Inga Iwasiów

Umarł mi. Notatnik żałoby

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013

Tak właśnie, niezgrabnie parafrazując tytuł, chcę zatytułować mój tekst o książce Ingi Iwasiów. Wypróbuję, jak to brzmi:

Napisała nam, że zmarł jej ojciec. Umarł mi, napisała.

Napisała przecież nie tylko do nas, którzy przeżywamy podobną stratę, ale to właśnie my czytamy jej książkę w szczególny, bardzo osobisty sposób, chcemy też jakoś podziękować za darowanie nam swojego doświadczenia, a potem dopisać się do jej słów, dopowiedzieć narzucając się ze swoim wyznaniem: To stało się tak nagle... To trwało bardzo długo... Spodziewałem się, a przecież...

Napisała nam o swoim ojcu, opowiadając o sobie i rodzinie tylko to i tylko tyle, ile chciała powiedzieć. Z podziwem śledzę zachowanie przez autorkę idealnych proporcji (jeśli w tym wypadku istnieje coś takiego, jak idealne proporcje) między dyskrecją i wyznaniem, a także między ciepłym wizerunkiem bliskich oraz ich widzeniem, które chociaż nie surowe, nie jest też bezkrytyczne ani naiwne. Przeglądamy się w tej książce, odnajdując wszystko to, co wspólne i powtarzalne, a także ze znaną starożytnym poetykom ulgą odnajdujemy to, co głęboko różne od naszego doświadczenia – nasi najbliż-

si umarli inaczej, my byliśmy wtedy inni i gdzie indziej... A pod różnicą znów kryje się najgłębsze podobieństwo, jak to bezbronne wyznanie, „pękło mi serce.”

Jednym z ważnych wymiarów książki Ingi Iwasiów jest budowanie narracji autobiograficznej po stracie i w obliczu straty. Śmierć ojca staje się powodem skonstruowania przez córkę nowej opowieści o rodzinie, zarówno tej, z której pochodził, jak i tej, którą w stosunkowo młodym wieku założył. Warto z uwagą przeczytać to wszystko, co w lapidarnej książce autorki *Bambina* dotyczy jej genealogii, przetrzeni związanej z rodziną ojca (przybysza z wielkopolskiej wsi) i rodziny matki przesiedlonej z okolic Sambora. Autorka powieści, których akcja rozgrywa się w powojennym Szczecinie, szkicuje tutaj w zarysie to wszystko, co znaczące dla tego miejsca, w którym po wojnie spotkały się drogi przybyszy z różnych miejsc i tradycji. Relacjonując wcześniejsze rodzinne śmierci i pogrzeby nie zapomina o tych, którzy wyrwani z okolic dzieciństwa najwyraźniej nie zaadaptowali się w nowym miejscu i umierali przedwcześnie.

Postacią z oczywistych powodów najważniejszą jest tu ojciec. Zawód zegarmistrza staje się jego emblematyczną rolą, w której kulminują cechy wpisane w wywiedzioną wprost z trenów pochwałą osobą zmarłej. Jego zalety to: precyzja, delikatność, staranność, by o punktualności nie wspomnieć. Zegary z okładki nie muszą nawet przypominać o tym, że czas jest jednym z najważniejszych bohaterów książki, że przemijanie i jego nieuchronność nie będą tu abstrakcyjnym tematem, ale że zostaną pokazane z całą dotkliwością konkretnego, jaki stanowi jednostkowa strata.

Na poziomie indywidualnego, niepowtarzalnego losu znacząca dla ojcowskiej drogi życiowej okazała się trudna i bolesna dla niego decyzja jego matki, która uciekła przed niedobrym, przewidywalnym losem niezamężnej kobiety z dzieckiem w zamkniętej, tradycyjnej społeczności. Dopiero później mogła uratować także swojego syna przed pozycją nieślubnego dziecka, nazywanego wyłącznie „bękartem”. Szczecin stał się dla nich dwojga miejscem nowego i lepszego życia.

Jak *Chirurgiczna precyzja* jest tomikiem poetyckim napisanym przez syna chirurga, tak określenie „zegarmistrzowska precyzja”, które zasugerowane poza słowami ma się nasunąć czytelnikowi na myśl, jest tym, które zostało niejako wpisane w kompozycję książki, nawet w wyczuwalny rytm jej fraz, podobny też do pulsu. Lapidarność narracji Iwasiów buduje specyficzną melodię tej książki. Podzielona na tytułowane rozdziały-epizody, które stanowią zarazem medytacje, ma swoisty, jakby synkopowany tok, co każe zadać pytanie zarazem o stan serca i zegarowego mechanizmu. Rzeczowość, delikatna, a czasem gorzka ironia (fragment o zakładach pogrzebowych i ich reklamach) przeplatają się z osobistym wyznaniem i tym specyficznym „suchym” tonem, po którym poznać głos wydobyty ze ściśniętego gardła.

W prowizorycznym podziale na córki ojców i córki matek (są też synowie matek i synowie ojców...) Iwasiów wskazała zdawałoby się jednoznacznie – jest córką ojca. „Nie wierzę w więzy krwi, choć wierzę w geny i dziedziczenie konwencji zdarzeń” (s. 94) – deklaruje przy tym. Nie trzeba jednak długo szukać – w książkę

wpisana jest też postawa, której patroluje ukryta w cieniu ojca postać matki, pielęgniarzki. Narratorka swoją postawą wyraża troskę o innych, bywa przy tym trochę szorstka, ale zawsze odpowiedzialna; pewność tego, co się robi i panowanie nad sobą jest wyrazistą cechą mówiącej do nas postaci.

Wybaczenie innym i wybaczenie sobie idą w parze w tej nietoksycznej książce rodzinnej. Zawodowe rozumienie i interpretowanie to znak rozpoznawczy autorki. Dlatego stara się zrozumieć decyzje swojej babci, zmuszonej przez okoliczności życiowe do zostawienia na jakiś czas syna u swoich rodziców na wsi, by w mieście rozpocząć walkę z losem o swój, a potem jego, samodzielny byt: „Pod koniec życia opowiadała rzeczy poważne. Także o swoich minionych decyzjach [...]. Mówiłam jej, że rozumiem. Zawodowo uprawiałam rozumienie, dlaczego miałabym odmówić go babci? Przeszłość jest nienaprawialna, nic z nią nie zrobimy” (s. 69).

„Dwa tygodnie po pogrzebie powiedziałam do syna: »Najgorsze jest to, że nie mam o swoim ojcu nic złego do powiedzenia«” (s. 95) – to paradoksalne zdanie doskonale wyraża, jak cierpienie utraty chciałoby się umniejszyć nawet kosztem rezygnacji z idealnego obrazu tego, co utracone – ale to niemożliwe.

Inga Iwasiów napisała niezwykle ważną książkę, potrzebną właśnie dlatego, że nie można jej postawić na półce z napisem „literatura terapeutyczna”. O terapiach i grupach wsparcia dla tych, którzy są w żałobie sama Iwasiów wypowiada się z wyraźnym dystansem. Moc tej niewielkiej książki i siła jej absolutnej prostoty polega na czymś innym.

Po przeczytaniu całej biblioteki prac o żałobie (badaczka literatury współredagowała przecież kiedyś tom zbiorowy o książce Tadeusza Różewicza *Matka odchodzi*) i melancholii, źle i dobrze przetworzonej traumie, o pamięci i zapomnieniu, Inga Iwasiów umiała nie tyle może odrzucić, co zawiesić całą tę wiedzę (wiedząc przecież, że zdobyta mądrość nie ma tu nic do rzeczy, „wywiodłeś wszystkich, nie wywiodłeś sobie”). Potrafiła przemówić z poziomu doświadczenia i przeżywania każdego dnia i każdej chwili, które naznaczyła świeża rana straty.

Zawodowo zajmując się pamięcią i zapomnieniem, stratą i żałobą, aż za dobrze wiemy, co robimy z myślami o naszych bliskich, jak przetwarzujemy żałobę, jak źle wykonana praca staje się nieustającą żałobą i jak dobrze odrobiona lekcja żałoby ją unicestwia. Wiemy, jak zjadamy naszych zmarłych i jak zamykamy pamięć o nich w niedostępnych kryptach. Ale przychodzi prawdziwa strata i zdumiewające stają się zupełnie inne sprawy, na przykład to, co związane z przygotowaniem pogrzebu, wyborem urny, porządkowaniem i segregowaniem rzeczy zmarłego. Waga tych drobnych, zdawałoby się, szczegółów w książce Iwasiów jest nie do przecenienia. Nieważne akcydentalne sprawy urastają do niespotykanych rozmiarów, bo odtąd na zawsze splecione są z tym:

„Dzień był bardzo gorący, ludzie szukali cienia pod drzewami, w samochodach, wokół kaplicy” (s. 101).

Było tak gorąco..., był mróz, wszyscy marzli..., padał ulewny deszcz..., nagle wyszło słońce... Pamiętam każdy szczegół..., nic nie pamiętam, wszystko jak przez mgłę... Słyszeliśmy to i sami tak

mówiliśmy, ale tym razem natrafiamy na zapisane, zamknięte z ramach skondensowanego przekazu jedno, niepowtarzalne przeżycie.

Umarł mi to zapis żałoby, szkic do portretu zmarłego, rodzinna opowieść, ale też świetny (i nie mimowolny, przeciwnie, świadomie nakreślony) autoportret. To też działa niemal katartycznie – odkrywam, że narratorka jest zupełnie inna niż ja, niż każdy z nas, a przecież jest „jednym z nas”, wpisana we wspólnotę nieuchronnego losu. Umie także zobaczyć siebie z przeszłości ich, rodziców, oczami, jak tu, z perspektywy ojca:

„Byłam rozkoszna, ładna, przemądrzała i nieśmiała. Udałam mu się, ale ponieważ byłam jego, musiałam mieć gen niepewności, samotności, odrzucenia. Brałam po nich, z ich puli” (s. 99).

Umarł mi przynosi autoportret dorosłej kobiety, przez której rysy przezierają cechy znanych jej i nieznanymi przodków, toczących sobie tylko wiadome wojny generowe. Jak my wszyscy, jest polem sprzecznych sił, w których mają swój wcale nie tajemniczy udział zmarli.

Dziewczynka, która zawsze wybiegała na przyjęcie z pracy „tatulka”, i która oparzyła się przelewając samowolnie dla rodziców gorącą herbatę, jest energiczna, śmiała i pewna akceptacji ojca. A może inna: nieśmiała jak on, ale tak skutecznie przewyciężająca nieśmiałość, że aż odważna i ekspansywna. Albo jeszcze inaczej: śmiała, ale ukrywająca się za tarczą nieśmiałości z obawy, że jej energia rozsądzi ramy skromnej szkolno-domowej scenografii, w której musi się poruszać. Deklaracje i autoprezentacje zbudowane z najprostszych i najkrótszych zdań nicze-

go nie tłumaczą, ale też niczego zbytecznego nie komplikują.

Sylwetka ojca spleta się z autoportretem tam, gdzie mowa jest o „spadkach”:

„Mój tata był zegarmistrzem. Miał niskie ciśnienie. Na słońcu i wietrze łzałyły mu oczy, nosił ciemne okulary. Wzięłam po nim chorobę zawodową, światłowstręt, błądłość, cierpnące łydki, obniżoną temperaturę” (s. 50).

Pisząc i o sobie, i o ojcu, Iwasiów naszkicowała sugestywny wizerunek wrażliwego chłopca wychowanego przez samotną matkę; mężczyzny, który udźwignął ciężar wczesnego ojcostwa, dumnego z uzdolnionej córki, wreszcie kochającego dziadka. Wierzmy w ten obraz z lapidarnego „notatnika żałoby”.

Inga Iwasiów szkicuje także w *Umarł mi* ważny wycinek socjologii codzienności; jej zapiski z przygotowań do pogrzebu mają w sobie konkret, pozwalają zrozumieć paradoksy praktycyzmu w szaleństwie rozpacz. Ta prywatna antropologia codzienności, którą w chwili największej życiowej straty uprawia autorka, stawia czytelnika w dogodnym do obserwacji miejscu. Jak dobrze usłyszeć od rozsądnej, nienatrętnej, ale i stanowczej osoby – popatrz, to tak wygląda, tak to się u nas w Polsce, na początku wieku, odbywa. Im bardziej sama jest niepodobna do nas, im bardziej też niepodobne szczegóły tej utraty, tym bardziej z uderzającą siłą przemawia to, co w tym wszystkim powtarzalne wspólne, wręcz identyczne.

„Do powieszenia klepsydry potrzebne są nożyczki, pinezki, klej, taśma klejąca. Trzeba te drobiazgi znaleźć, kupić, włożyć do torebki. Przewidzieć wymagania podłoża. Przeszukać domowe szuflady.

Dokupić coś w kiosku. Wybrać najlepszą porę dnia. Nie zapomnieć zabrać torebki” (s. 62).

Jeden z najlepszych przykładów, jak przeżycia osób przeżywających nagłą stratę potrafią przy pozorach logiki zatrzymać się na szczególe, który komu innemu wyda się albo nieistotny, albo wręcz absurdalny, jest opisana przez Iwasiów historia „pomylki” i wyboru „niewłaściwego” (jakie to ma znaczenie: do trumny? do urny?) garnituru dla ojca.

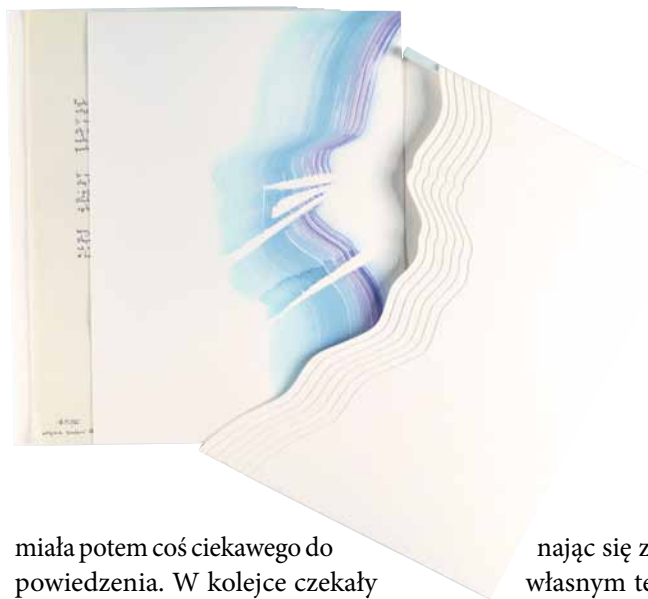
Matka jest postacią, z którą narratorka prowadzi ledwie tylko zaznaczoną rywalizację o stratę. „Moja mama została zdetronizowana. Trzeba przyznać, że w obu tych kolumnach – zimowej i letniej – szłam pierwsza, postarałam się być na pierwszym miejscu, choć niewątpliwie powinnam była go ustąpić. W zimie ojcu, w lecie matce” (s. 104). Narratorka mówi nam o tym nie bez powodu, nie jest naiwną opowiadaczką. Umarł **mi** – akcentuje przecież już w tytule; to mnie dotknęła ta strata, mnie ona dotyczy bezpośrednio. Z kolei jej synowie, wnukowie zmarłego są od tego wydarzenia oddzieleni bezpieczną barierą jednej, jeszcze żyjącej, generacji.

Ostatnie zdanie rozdziału *Wyprowadzka* brzmi: „Zauważyłam, że pisząc tę książkę prawie nie udaję” (s. 122). Warto docenić te słowa. Pisarka i badaczka współczesnej prozy dobrze wie, co mówi i ile znaczeń „udawania” kryje się w naturalnej narracji, jak trudno osiągnąć taką prawdę, taką szczerłość. Ale jest też codzienny, ludzki, nieliteracki sens tego „nieudawania”. Iwasiów pisze wiele o sytuacjach, w których prowadzi nas konwencja, zwyczaj, obrzęd. Docenia wagę katolickiego pogrzebu, spotkań z rodziną, rytuałów

sąsiedzkich. Pokazuje, ile już straciliśmy, a ile jeszcze stracimy, gdy jeszcze mocniej nadwątlą się więzi międzyludzkie.

Iwasiów docenia też rolę samej żałoby, nawet jej współczesnego szczątkowego funkcjonowania; jak podkreśla, rzadko się dziś zdarza, by można było sobie pozwolić na cały rok spokojnego jej przeżywania, spełniając równocześnie oczekiwania, jakie mają wobec nas inni. „[...] dorośli mają obowiązek uporać się ze smutkiem, nie leżeć innym w oczy z tym katastroficznym depresyjnym nastrojem. Ten obowiązek bezwzględnie dotyczy osób uważanych za silne. Odnoszących sukcesy. Normalnych. Niebiorących zwolnień z każdej okazji. Wyrabiających się. Zwolnione są z niego osoby w permanentnym, widocznym kryzysie. Budzące litość. Rozchwiane emocjonalnie. [...] Nie każdemu przysługuje równa porcja społecznej żałoby. Trzeba uznać ten fakt za naturalny” (s. 15–16). Te gorzkie w gruncie rzeczy stwierdzenia pozwalają zobaczyć, że bohaterka tekstu jest świadoma tego, że jest postrzegana jako ta, której wolno mniej, gdy chodzi o ekspresję żalu. Dlatego właśnie chce ten jeden raz powtórzyć tytułowe „umarł mi” jako prawdę wyłącznie o swoim bólu, prawdę, do której ma pełne prawo.

Jeden z wątków książki, który silnie do mnie przemówił, stanowi obraz ojca jako czytelnika podsuwanych mu przez córkę współczesnych polskich powieści, relacja o stworzeniu z nim wspólnoty czytelniczej. Podobne doświadczenie było w ostatnich latach także moim udziałem. W ostatnim roku przed śmiercią moja mama poszukiwała także autorów, o których wcześniej niewiele wiedziała, tak poznała kilka powieści Doris Lessing; o każdej



Alina KALCZYŃSKA,
Zbigniew Herbert, *Do rzeki*.
Teka i futerał, unikat, 2010.
Fotografia Luca Postini

miała potem coś ciekawego do powiedzenia. W kolejce czekały książki Alice Munro (to było tuż przed Noblem), ale *Widok z Castle Rock* napisany przez rówieśniczkę z Kanady jakoś do niej nie przemówił. Znacznie starsza Brytyjka, która energią mogłaby obdzielić nas obie, poprowadziła ją na nieznane wcześniej terytoria. Ciekawość świata kruchej, niemal bezcielesnej osiemdziesięciolatki, spowodowała jej zainteresowanie innym, nieprzeżytym życiem, wpisanym w fikcję cudzym doświadczeniem. Czytając te same książki, które nas nie dotyczyły bezpośrednio, wykroczyliśmy razem, na ile to było możliwe, poza czas i poza ramy naszej różnicy pokoleń.

Książka Ingi Iwasiów ma obiektywną wagę wypowiedzi generacyjnej. Zdaje relację z powszechnego doświadczenia ludzi „w średnim wieku” doświadczających straty. Ojciec autorki był relatywnie młody. Żegnamy także rodziców znacznie starszych albo z lękiem przygotowujemy się na odroczenie nieuchronnego. Dlatego w książce bardzo ważna jest także opowieść o śmierci babci. Przejmujący jest obraz tego, jak odchodzą najstarsi, żeg-

nając się z nami pomału i w swoim własnym tempie i rytmie kolejnych, cząstkowych pożegnań. Inga Iwasiów zapamiętała wielokrotnie powtarzany gest babci wychodzącej na balkon i machającej do niej na pożegnanie. W końcu jeden z tych małych, powtarzalnych gestów stał się tym ostatnim.

W książce *Umarł mi* Inga Iwasiów traktuje – i nas, i siebie – dobrze, oszczędza przy tym i sobie, i nam tego, co mogłaby jeszcze opowiedzieć. Powtarza strategię matki, pielęgniarki, chroniącej ją przed naturalizmem szczegółów, których córka nie zobaczyła. Pisarka jest wobec siebie i wobec czytelników niezwykle uczciwa. Gdyby na podstawie książki *Umarł mi* trzeba było wyznaczyć zasady „stosowności i formy” mówienia o stracie – ta książka dostarczyłaby najlepszych przykładów, a zarazem dowodów na to, że to możliwe i konieczne.

Rozpoznajemy się po drobnych znakach. „Odkąd umarł, zawsze mam przy sobie zapalki. Do zapalania zniczy i świeczek” (s. 124).

Noszę przy sobie zapalki.

Anna Czabanowska-Wróbel